

Tasos Livaditis

Poetyka

Piszę dla niepiśmiennych,
Dla robotników z zaczerwienionymi od kurzu oczami
Do domu powracających późnym wieczorem,
I dla was, chłopcy, którzy pamiętacie,
Jak zbieraliśmy się w noc zimową wojny
Nad słuchując dalekich wystrzałów naszych
towarzyszy.

Piszę dla tych co podnoszą ulotki
I rozsiewają ziarno buntowniczych pieśni.
Piszę dla górników, tragarzy i praczek.
Dla was piszę, moi bracia w śmierci,
Moi towarzysze w nadziei,
Którzy spoglądacie na mnie
Z życzliwą uwagą.
Kiedy umrę i kiedy przestanę
Być garścią pyłu z waszych dróg —
Dla moich prostych księżek przyszłość

utwierdzających

Znajdzie się miejsce
Na drewnianych stołach ludu
Obok narzędzi i chleba.

Przełożył: JERZY PLEŚNIAROWICZ

TASOS LIVADITIS — współczesny poeta grecki, reprezentuje młode pokolenie i należy do najbardziej zaangażowanych społecznie pisarzy swego kraju. Przeszedł surową szkołę faszystowskich obozów koncentracyjnych. Z jego dorobku zwracają uwagę „Wiersze pisane na pudełkach ob papierosów”.

Zdzisław Kozioł

NIEPOROZUMIENIE CIĄG DALSZY

Wizytator ministerialny przejawiał wręcz młodzieńczy zapał, usilnie namawiał mnie do napisania artykułu, który powinienem zatytułować: „Młodzież rzeszowska w krajowej czołówce” lub coś w tym rodzaju. Wizytator nie miał słów uznania dla Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy; uczeń tej szkoły, Jerzy Dydak, zdobył I miejsce w eliminacjach centralnych olimpiady matematycznej (jego nauczycielem jest mgr Kazimierz Gwóźdź), inny uczeń, Ryszard Różak, zdobył I miejsce w olimpiadzie chemicznej (jego nauczycielem jest Piotr Rybka). Obydwaj będą reprezentować młodzież polską na międzynarodowych olimpiadach w Pradze i Moskwie. Trzech innych uczniów (Anna Zdeb, Andrzej Para i Władysław Piłat) uzyskało wyróżnienie w ogólnopolskiej olimpiadzie chemicznej, a Kazimierz Gołda wyróżnieniem w olimpiadzie fizycznej też przysporzył laurów Dębicy. To jeszcze nie

koniec sukcesów dębickiego liceum; trójka uczniów: Stanisław Łukasik, Urszula Gołlicz i Stanisław Kostyra, zdobyła VI miejsce w eliminacjach centralnych olimpiady wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, a w eliminacjach wojewódzkich — I miejsce; przygotowywał ich dyrektor szkoły, mgr Edmund Galas.

To jest rzeczywiście olbrzymi sukces i zgadzam się z wizytatorem ministerialnym, że takie liceum należy stawiać za wzór innym; o szkole tej mówił mi w odpowiedzi na moje pytania dotyczące społecznych aspektów rekrutacji na wyższe studia.

— Szkoła w środowisku robotniczym osiąga doskonałe wyniki, jej absolwenci — młodzież robotnicza, chłopska i inteligencka — bez trudu podejmują studia na wybranych kierunkach.

W ubiegłym roku z 63 kandydatów 50 zostało przyjętych. To też duży sukces szkoły; jednym z kryteriów oceny poziomu nauczania — mówili mi pracownicy Kuratorium — jest odsetek absolwentów, którzy kontynuują naukę w wyższych uczelniach. Kryterium rzeczywiście ważne, ale jeśli z różnych względów młodzież nie chce studiować? W obecnym roku nastąpił przecież, przy dość poważnym wzroście liczby maturzystów, procentowy spadek zgłoszeń na studia. W Rzeszowskim wskaźnik ten wynosi 54 proc. i jest nieco wyższy od średniej krajowej. Najniższe wskaźniki zanotowano we Wrocławskim, Kieleckim, Krakowskim, Kozalińskim, Warszawskim oraz Łódzkim. I tak np. w Warszawie zamierza studiować 79 proc. maturzystów, a w woj. warszawskim — 42 proc., z Łodzi — 62 proc., a z woj. łódzkiego — tylko 41 proc.

Dane te zdają się przemawiać za współzależnością między rozwojem społeczno-gospodarczym regionu a aspiracjami młodzieży, choć raczej należałoby mówić nie o aspiracjach, lecz możliwościach kontynuowania nauki. Przecież w Rzeszowskim wskaźnik zamierzających studiować wzrósł po utworzeniu WSI i WSP, ale trzeba tu wspomnieć o niepokojącym zjawisku; wyższe szkoły inżynierskie mają średnio 156,6 zgłoszeń na 100 miejsc, a rzeszowska WSI tylko 146,4; narzą WSP ma jedynie 105 kandydatów na 100 miejsc, podczas gdy średnia krajowa dla tych uczelni wynosi 125,9. Są to wprawdzie dane z grudnia ubiegłego roku, mogły więc nastąpić pewne zmiany, ale przytoczone wskaźniki powinny zaniepokoić i władze szkolne, i środowiska naukowe. Widocznie rzeszowskie uczelnie nie są jeszcze atrakcyjne dla miejscowej młodzieży, która nawet na te same kierunki studiów wybiera się poza Rzeszów. Jest to

zagadnienie odrębne, choć nie od rzeczy będzie wspomnieć, że tzw. atrakcyjność uczelni zależy m. in. od jej tradycji, miasta, w którym się znajduje itp., jednak poziom absolwenta nie jest przecież uwarunkowany tym, czy uczelnia była utworzona 400 czy 10 lat temu i nie od tego, czy miasto liczy milion mieszkańców, czy też niespełna sto tysięcy. Wspomina o tym dlatego, że młodzież ulega mitom, a mity te są często rezultatem opinii wyrażanych przez samych nauczycieli. Skoro już mówimy o upodobaniach młodzieży, to warto jeszcze dodać, że Rzeszowskie jest nadal „zagłębiem” nauczycielskim — 12,2 proc. zgłaszających się na studia wybrało wyższe szkoły pedagogiczne, podczas gdy w kraju wskaźnik ten wynosi 4,5 proc. Na studia techniczne wybiera się 33,7 proc. kandydatów (w kraju — 32,6 proc.), natomiast niższy niż w kraju jest odsetek kandydatów na uniwersytety i akademie medyczne. Z woj. rzeszowskiego najwyższy odsetek młodzieży chłopskiej wybiera się na studia, bo jest jej 43,6 proc. wśród tegorocznych kandydatów, a w kraju zaledwie 16,6 proc.

Wskaźnik młodzieży chłopskiej na uczelniach systematycznie maleje, nieco wolniej spada odsetek młodzieży robotniczej. Nasuwa się zasadnicze pytanie: czy ta młodzież nie chce studiować, czy też jakieś inne względy powodują, że jest jej tak mało na wyższych uczelniach? Zanim spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, kilka refleksji z lektury „Rocznika Statystycznego”. Właściwie dochodzimy do jednej konkluzji: im bardziej atrakcyjna szkoła, tym mniej ma uczniów lub studentów pochodzenia robotniczego i chłopskiego. I tak np. w roku akademickim 1966/67 na uniwersytetach było 13,5 proc. młodzieży chłopskiej i 25,3 proc. młodzieży robotniczej, w wyższych szkołach technicznych wskaźniki te są nieco wyższe, a w akademiach medycznych było 23,5 proc. młodzieży robotniczej i 13,7 proc. chłopskiej, natomiast w wyższych szkołach artystycznych zaledwie 7 proc. dzieci rolników. Względnie duży odsetek młodzieży chłopskiej i robotniczej jest w wyższych szkołach rolniczych i pedagogicznych, a zdecydowanie przeważa ona w akademiach teologicznych.

W tym roku zanotowano pewien wzrost odsetka młodzieży robotniczej wśród ubiegających się o przyjęcie na studia, natomiast nie zwiększył się wskaźnik młodzieży chłopskiej. Wokół tego problemu narosło wiele nieporozumień, a wynikają one głównie stąd, że dyskusjanci podejmują tylko jeden z wielu aspektów zagadnie-



Wystawa ikon w Rzeszowskim Domu Sztuki czynna od 22 VI do 12 VII br.

Fot. M. KOPEC

(Ciąg dalszy na str. 2)

Erich Maria Remarque ukończył 70 lat

Jeden z najpopularniejszych pisarzy świata, bliski i naszemu czytelnikowi, Erich Maria Remarque ukończył właśnie 70 rok życia. Pisarz ten, narodowości niemieckiej, żyje w miejscowości szwajcarskiej Ronco pod Asconą, osiadłszy tam po wieloletniej wędrówce, kiedy jako emigrant polityczny znalazł się poza granicami swego ojczystego kraju, opanowanego wtedy przez hitlerowców.

Remarque urodził się w rodzinie księgarza w Osnabrueck. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego pracował jako pedagog, zajmując się — z coraz większym zamiłowaniem — również i dziennikarstwem oraz pisarstwem. W 1929 roku napisał książkę, która przyniosła mu światową sławę i uznanie wszystkich przeciwników wojny: „Na zachodzie bez zmian”. Książka ta, jak i następne dzieła Remarque'a „Droga powrotna”, została potępiona przez hitlerowców. Obydwa były publicznie palone na stosach w miastach niemieckich po dojściu Hitlera do władzy. Najpopularniejszą powojenną książką tego pisarza stała się, wydana i u nas, powieść „Luk triumfalny”.

Mimo usilnych umizgów ze strony Bonn, Erich Maria Remarque nie zdecydował się na osiedlenie w Niemczech zachodnich.

Pisarz ożeniony jest (jest to jego trzecie małżeństwo) z aktorką Paulette Goddard. Poprzednią, drugą żoną Remarque'a była Marlena Dietrich.

Nieporozumień ciąg dalszy

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nia. Notabene zjawisko to nie jest jedynie typowe dla Polski; także w innych krajach naszego obozu niekorzystnie dla robotników i chłopów przedstawia się struktura młodzieży akademickiej, choć nie w każdym państwie, tak jak ostatnio u nas i w Jugosławii, zagadnienie to ujmowane jest w kategoriach społecznych.

Wracając do wspomnianych nieporozumień, trzeba tu powiedzieć o ciągłym przerzucaniu odpowiedzialności na szkołę średnią, która nie przygotowuje młodzieży do studiów, a im szkoła dalej położona od ośrodka wielkomiejskiego, tym podobno jej absolwenci są słabiej przygotowani. Liczne przykłady przeczą takiemu twierdzeniu. Przedstawiciele szkolnictwa średniego mówią natomiast o wadliwym systemie rekrutacji i egzaminów wstępnych, w społeczeństwie zaś krąży przeróżne wersje o mechanizmie różnorodnych protekcji, co w efekcie ma powodować że dla części młodzieży po prostu brakuje miejsc. Jest to sprawa szczególnie drażliwa; wytworzyła ona specyficzną atmosferę, która tak oburza pracowników naukowych... Nie tu jednak należy szukać zasadniczej przyczyny niewłaściwej struktury społecznej studiującej młodzieży. Wspomnę przy okazji, że zdaniem moich znajomych pracowników naukowych, ci właśnie protegowani należą do reguły do najbliższych studentów, którzy nierzadko przerywają naukę, nie mogąc poddać wymaganiom. Skonfrontujmy to z ciekawymi materiałami z roczników statystycznych; wynika z nich, że najlepsze efekty osiąga właśnie młodzież chłopska, a następnie robotnicza. Te dane, zdaniem jednych, przemawiają za koniecznością zwiększenia udziału tej młodzieży na studiach, a inni — powołując się na ten przykład — uzasadniają niecelowość przyznawania jej dodatkowych punktów.

Przed paru laty napisałem artykuł o konieczności preferowania tej młodzieży; mój artykuł spotkał się z negatywnym przyjęciem nawet w środowiskach i instytucjach, które powinny dążyć do stworzenia większych szans młodzieży robotniczej i chłopskiej. Okazało się, że dotychczasowy system preferowania nie przyniósł spodziewanych efektów, a opo-

ry wobec tej zasady są obecnie jeszcze większe niż przed laty. Słyszałem wiele wypowiedzi kwestionujących słuszność preferowania za pochodzenie, traktując to jako praktykę sprzeczną z zasadami demokracji, która każdemu przyznaje jednakowe prawa. Tak, istotnie, takie samo prawo do studiów ma syn chłopa z odległej wsi, który wiele kilometrów dojeżdża do szkoły, jak i syn lekarza, inżyniera czy dziennikarza. Preferowanie za pochodzenie traktowano też za przejaw braku zaufania do inteligencji, co już jest jeszcze większym nieporozumieniem niż wcale niesporadyczne twierdzenie, że w pierwszej kolejności trzeba uprzywilejować kandydatów na studia za zasługi ich ojców.

Pominę twierdzenia o potrzebie nagradzania synów za zasługi ojców, nie będę polemizował z sądami, że dodatkowe punkty za pochodzenie społeczne pozostają w sprzeczności z założeniami demokracji i socjalizmu, choć warto tu postawić retoryczne pytanie, czy sprawiedliwe i demokratyczne jest to, że podstawowe warstwy narodu, a więc robotnicy i chłopci, nie są proporcjonalnie reprezentowane na wyższych uczelniach. Nie sądzę także, by należało szeroko uzasadnić konieczność stałego zasilania środowisk inteligentnych młodymi, zdolnymi ludźmi ze środowisk robotniczych i chłopskich. Czy wykształcenie wyższe ma być dziedziczne? Jeśli inżynier, lekarz, nauczyciel czy dziennikarz nie potrafi przygotować swojego dziecka do wyższych studiów, to niech znajdzie dla niego taki zawód, który nie wymaga ukończenia uniwersytetu lub politechniki.

Poprzestanie na tym twierdzeniu byłoby jednak uproszczeniem zagadnienia, a nawet też swego rodzaju demagogią. Gdzie więc leży meritum problemu? Zazwyczaj dyskutujemy o całym kompleksie spraw związanych z przechodzeniem młodzieży ze szkoły średniej do wyższej. I od lat powtarza się mniej więcej te same twierdzenia, powielając wspomniane już pretensje uczelni do szkół średnich. W takich dyskusjach zagadnienia społeczne schodzą na plan dalszy, stają się mniej ważne lub w ogóle nie są brane pod uwagę. Nie poziom nauczania w szkołach śred-

nich, nie wymogi na egzaminach wstępnych są najważniejszymi przyczynami powodującymi spadek udziału młodzieży robotniczej i chłopskiej na wyższych uczelniach. Niewłaściwy skład społeczny studiującej młodzieży jest spowodowany głównie wadliwym składem społecznym uczniów liceów ogólnokształcących. W okresie ostatnich 10 lat odsetek uczniów pochodzenia robotniczego zmniejszył się z 28,9 proc. do 23,2 proc., a pochodzenia chłopskiego z 24,7 proc. do 17,7 proc. W ub. roku GUS zakazał sporządzania sprawozdań o składzie społecznym uczniów liceów, więc nie znamy aktualnych danych, chociaż nie wskazuje na to, by tej młodzieży w liceach było więcej.

Nie pomogą więc dodatkowe punkty, jeśli nie nastąpią zasadnicze zmiany w składzie społecznym licealistów. Dlaczego tej młodzieży tak mało w liceach? Z badań, którymi objęto raczej niewielką grupę młodzieży, wynika m. in., że dzieci robotników i chłopów wolą iść

do szkół zawodowych, które dają szybsze usamodzielnienie ekonomiczne. Ten aspekt zagadnienia jest najczęściej podnoszony; mówi się o nieopłacalności wyższego wykształcenia, o dużych kosztach nauki itp. Wytworzyła się też niesprzyjająca atmosfera wokół liceów ogólnokształcących jako szkół „niepraktycznych, nie dających”. Licea ogólnokształcące bardzo dużo straciły na skądinąd koniecznym awansie szkół zawodowych. Myślę o podziale środków inwestycyjnych czy funduszy stypendialnych. M. in. zasadniczą przyczyną utrudniającą dostęp młodzieży do liceów jest brak internatów, a prywatne stancje są dla wielu rodziców za drogie, zaś licealiści nie mogą liczyć na poważniejszą pomoc stypendialną. Nasuwa się zasadniczy wniosek: już czas stworzyć liceom takie warunki jak wielu typom szkół zawodowych, szczególną zaś opieką należy otoczyć licea na tzw. prowincji, nie mówiąc już o potrzebie tworzenia nowych szkół tego typu.

I na tym stwierdzeniu można by właściwie poprzestać, ale nie wolno nie wspomnieć o przejawach, oględnie mówiąc, złego traktowania tej młodzieży w niejednej jeszcze szkole, a także o przejawach administracyjnego nawet szykanowania. Zarzuty mocne, lecz jak inaczej nazwać stosowaną w niejednej szkole praktykę „klasowego” podziału na klasy; w jednym oddziale dzieci pracowników umysłowych, zwłaszcza tych ważniejszych, w drugim pozostałej młodzieży. Odpowiednio też traktuje się uczniów... Zresztą, znam pewną panią profesor uniwersytetu, która oficjalnie odmawia kmiotkom zdolności... Szykany administracyjne: władze lokalne w niejednym mieście po prostu zamykają swoje szkoły przed „obcą” młodzieżą, co praktycznie godzi głównie w dzieci chłopskie. Decyzje te są podejmowane w trosce o swoją młodzież, a więc znowu wracamy do sprawy zasadniczej — sieci szkół, podstawowego warunków dostępu do oświaty.

ZDZISŁAW KOZIOL

WSIE I MIASTA BLIŻEJ TEATRU



Fot. J. KOZIOL

Wyniki, ogłaszanego w poprzednich latach konkursu „Wiele bliżej teatru” skłoniły organizatorów do jego kontynuacji, tylko że w nieco zmienionej formie. W ubiegłym roku ogłoszono już konkurs „Bliżej teatru”. Oznaczało to, że mogą w nim uczestniczyć nie tylko mieszkańcy wsi, ale również i środowisk robotniczych i miejskich. I tu trzeba od razu podkreślić, że efekty jego są niemałe, biorąc pod uwagę plon akcji konkursowych, które w dużym stopniu przyczyniły się do popularyzacji sztuki teatralnej wśród najszerszych kręgów społeczeństwa naszego województwa.

Prezydium Zarządu Oddziału Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich, spełniające rolę wojewódzkiej komisji konkursowej dokonało ostatnio podsumowania wyników akcji. Dziś możemy mówić jedynie o nich, gdyż nie znamy jeszcze wyników współzawodnictwa w skali kraju. Przypominamy jedynie, że w roku 1966 woj. rzeszowskie uzyskało I miejsce.

A oto niektóre z nich. W ramach konkursu zorganizowano m. in. 103 wycieczki do teatrów, w których wzięło udział 9 273 osoby, obejrzano 888 przedstawień teatru telewizyjnego, odbyło się 63 spotkania z reżyserami i aktorami, powstało 11 kół miłośników teatru i 4 zespoły teatralne. Amatorskie zespoły z 27 miejscowości

przygotowały i prezentowały 47 pozycji repertuarowych. Nie wymieniamy tu oczywiście wszystkich danych statystycznych i form szerzenia wiedzy o teatrze, których było wiele, jak np. wieczornice, czytanie sztuk, artykułów i recenzji.

Spośród organizatorów konkursów najlepszymi wynikami może się poszczycić jarosławski PDK, który zorganizował na terenie wsi powiatu 13 przedstawień Teatru Lalki i Aktora „Kacperek” oraz 3 wycieczki do teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie oraz 20 spotkań z ludźmi teatru. Na uwagę zasługuje również działalność Koła Gospodyń Wiejskich w Handzłowie, pow. Łańcut, ZZ ZMS WSK w Mielcu, Domu Kultury w Albigowej, pow. Łańcut, świetlicy Rady Zakładowej Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie, Szkoły Podstawowej w Chotowej, pow. Dębica, Rady Zakładowej Oddziału PKS w Stalowej Woli, Gromadzkiej Biblioteki w Kobylanach i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Dukli, pow. Krosno.

Można by w tym miejscu wymienić również nazwiska wielu działaczy, którzy swym zapałem w dużym stopniu przyczynili się do tego, że konkurs „Bliżej teatru” cieszył się tak dużym powodzeniem. Sądźmy jednak, że będzie taka okazja po ogłoszeniu wyników konkursu w skali krajowej.

(STANSKI)

Wspomnienie o Wilhelmie Machu

W krakowskiej kawiarni „Feniks” wystawiają swoje prace znani malarze podwawelskiego grodu. Na ścianach widnieją rządy pejzaży, portretów i obrazów przedstawiających zabytki architektury. Wśród nich jeden zasługuje szczególnie na uwagę: przedstawia on mężczyznę o łagodnej, zamyślonej twarzy, podpierającego głowę ręką. Pod spodem napis: „Wilhelm Mach — malował Aleksander Kurcz 1945 rok”.

— „Poznałem go w 1943 roku — mówi malarz. — Byłem wtedy na wczasach w Skawinie. W pensjonacie znalazła się grupka ludzi interesujących się malarstwem, muzyką i literaturą. Pewien architekt zaproponował urządzenie wieczoru dyskusyjnego, poświęconego sztuce. Na tym wieczorze zabierał m. in. głos pewien młody człowiek, który formułował swe myśli cudowną polszczyzną, tak że wszyscy słuchali go z najwyższym zainteresowaniem. Niestety, jego sądy o sztuce i rzeczywistości techny ogromnym pesymizmem. Po wieczorze powiedziałem do niego: „Gdyby Pan nadał swemu wystąpieniu formę literacką, to powstałby piękny utwór. Ale jeśli naprawdę Pan tak myśli, jak Pan mówił, to powinien Pan od razu powiesić się”.

Wtedy Mach (bo on to był) przyznał się, że pisuje wiersze. W kilka dni później miał okazję zaprezentować próbki swego talentu. W pensjonacie odbył się wieczór literacko-muzyczny. Mach ułożył teksty piosenek pod znane melodie, a nawet sam występował.

Od tego czasu zaprzyjaźniliśmy się. Po powrocie do Krakowa kontynuowaliśmy znajomość. Wilhelm Mach pracował w Ubezpieczalni Miejskiej, mieszkał wtedy przy ul. Kraszewskiego. Miał dużo zajęć, zwłaszcza wieczorami,

ale nieraz wpadał do mnie na pogawędkę. Przy okazji tych wizyt opowiadał mi koleje swego życia. Pochodził z ubogiej rodziny chłopskiej, urodził się we wsi Kamionka, położonej między Ropczycami a Dębicą. Już jako 10-letni chłopak drukował swe wiersze, dzięki życzliwości jakiegoś dziennikarza, który przebywał na wakacjach w rodzinnych stronach Macha i natknął się na jego dziecięce utwory. W gimnazjum dębickim Mach zdał maturę, a potem w Krakowie ukończył Państwowe Pedagogium. Później dowiedziałem się, że przychodził do mnie na owe wieczorne rozmowy wprost z konspiracyjnych kompletów, na których przygotowywał młodzież do matury. Zresztą będąc człowiekiem z natury skromnym nigdy specjalnie nie mówił o swych zasługach na polu tajnego nauczania. Powiedzieli mi o tym jego dawni uczniowie, z którymi potem zetknąłem się przypadkowo.

Wycofujący się w styczniu 1945 roku Niemcy zabrali go ze sobą, ponieważ doskonale znał język niemiecki i mógł im po drodze służyć za tłumacza. Ale Mach uciekł od nich i przywędrował do Krakowa. Tutaj szukał pracy. Przez pewien czas pracował w sklepie artykułów żelaznych, który prowadziła matka kolegi, a przez tydzień rozlepał nawet afisze na kioskach.

Znając jego zamiłowanie do literatury, poradziłem mu, aby złożył podanie do Związku Literatów Polskich. Mach uznał to za myśl wyborną i uczynił, jak mu radziłem. W pogoni za zarobkiem, zapomniał jednak o podaniu i zgłosił się po 2 miesiącach do sekretariatu oddziału ZLP przy ul. Krupniczej. Urzędująca sekretarka zapytała go o nazwisko. — „Jestem Wilhelm Mach”

— rzekł. Usłyszał to Stanisław Witold Balicki, który kręcił się po pokoju. Był on wtedy w Krakowie osobistością bardzo wpływową z racji piastowania stanowiska redaktora naczelnego „Dziennika Polskiego”. Złapał Macha za łokieć. — „Drogi Panie! — krzyknął. — My tu na Pana od dawna wszyscy czekamy! Wszyscy są zachwyceni Pańskim podaniem do Związku. Co za język, co za styl, jaka precyzja sformułowań, jakie bogactwo myśli! Czy Pan wie, że doktor Wyka chce pisać o Pańskim podaniu osobne studium literackie?”

Mach wyszedł z sekretariatu oszalonego.

Tak zaczęła się jego kariera literacka. Niedługo potem Wyka przyjął go do redakcji „Twórczości”. Mach zaczął zarabiać piórem, a jednocześnie uzupełniał studia polonistyczne. Sukcesy wcale nie przewróciły mu w głowie. Nadal pozostał człowiekiem skromnym, taktownym, grzecznym i — nieśmiałym. Dzięki swemu usposobieniu miał dużo przyjaciół.

W mieszkaniu jednego z nich zdarzył się wypadek, który mógł skończyć się dla Macha tragicznie. Otóż Wilk wracając z jakiejś podróży służbowej, wstąpił do niego i nagle zapragnął się wykapać. W czasie kąpieli zasnął w wannie i słodko zachrapał. Podejrzane odgłosy sprowadziły właściciela mieszkania, który na szczęście w porę obudził bliskiego utopienia pisarza.

Jego portret namalowałem w ciągu dwóch posiedzeń, zaraz po obiedzie. Mach cierpliwie pozował. Dyskutowaliśmy wtedy o malarstwie i jeśli dobrze pamiętam — był zwolennikiem realizmu.

Potem redakcja „Twórczości” została przeniesiona do Warszawy i Mach wybrał się tam razem z nią. Zawsze jednak pamiętał o krakowskich przyjaciółach i utrzymywał z nimi kontakty listowne. Ilekroć zjawiał się w Krakowie, zawsze wstępował do mnie na pogawędkę — jak za starych dobrych czasów. Wiedziałem, że chorował, ale jego śmierć była dla mnie zaskoczeniem i bolesnym ciosem. Odszedł Wilk, stary dobry Wilk, który śpieszył zawsze z pomocą, był bardzo uczynny, nawet wobec ludzi zupełnie mu obcych, jeśli tylko widział, że tej pomocy potrzebowali.

Kiedy przeczytałem w prasie nekrologi, rozpocząłem poszukiwania wśród starych plócien w mojej pracowni portretu Macha. Odłożyłem go specjalnie dla niego, ale zawsze zapomniał go wziąć ze sobą. Teraz ze wzruszeniem otarłem z kurzu tę pamiętkę. I gdy zwrócono się do mnie z prośbą, abym dał na wystawę którąś ze swoich prac — nie wahatem się, dałem portret mojego starego przyjaciela...

Portret Wilhelma Macha malowany przez Aleksandra Kurcza, jest jednym z nielicznych wizerunków tego wybitnego pisarza. Podobno tylko dwoje malarzy malowało Macha. Wydaje się, że miejsce portretu jest gdzieś indziej niż w zadymionej kawiarni. Może w siedzibie Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich?



Święci Kosma i Damian, II połowa XV w. Muzeum Budownictwa Ludowego Sanok.

Wystawa ikon

W dniach od 22 czerwca do 12 lipca 1968 r. czynna jest w Domu Sztuki w Rzeszowie wystawa ikon. Zabytki te pochodzą ze zbiorów Muzeum Historycznego w Sanoku i ze zbiorów Muzeum w Łańcucie. Są to obrazy olejne wykonane na drewnie, pochodzące z XV, XVI, XVII i XVIII wieku. Ikony pochodzą z południowych powiatów województwa rzeszowskiego: Jasło, Brzozów, Ustrzyki Dolne, Gorlice, Sanok, Lesko, Przemyśl. Wystawiono 36 dzieł sztuki religijnej. Zwiedzających uderza żywy kolor barw i blask złocień oraz różnorodność tematyki obrazów. Oprócz postaci świętych i momentów z ich życia pokazano także fragmenty drzwi cerkiewnych. Trzeba dodać, że bogate zbiory muzealne czekają na wydanie albumowe. Byłoby to niewątpliwie pożądane i pożyteczne przedsięwzięcie. Album taki mógłby zrobić furorę za granicą i zostać wydany w obcych językach. Mamy nadzieję, że tą sprawą zainteresuje się wydawnictwo „Arkady”. (mt)



Narodzenie św. Jana — Muzeum Historyczne w Sanoku. Fot. M. KOPEĆ.

Jubileusz „ŚLĄSKA”

1 lipca Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” obchodzić będzie jubileusz 15-lecia swego istnienia. Na ten temat przedstawił PAP rozmawia z założycielem zespołu i jego kierownikiem artystycznym, prof. Stanisławem Hadyną.

— Jak można najkrócej ująć osiągnięcia popularnego w kraju i za granicą zespołu „Śląsk”?

— Cyfrowo: 11 milionów widzów, 1600 koncertów w 28 krajach na 4 kontynentach. Dwa wysokie odznaczenia — Order Sztandaru Pracy I klasy oraz złoty medal Światowej Rady Pokoju w Sztokholmie. Poza tym szereg odznaczeń i dyplomów krajowych i zagranicznych oraz honorowe obywatelstwo kilku miast.

— Jaki będzie jubileuszowy program zespołu?

— Na razie to „tajemnica”... Zdradzę tylko, że będzie to wybór najcenniejszych pozycji wszystkich programów z okresu 15-lecia oraz fragmenty nowych propozycji programowych.

— Co z repertuaru „Śląska” zdobyło sobie największą popularność?

— Przede wszystkim „Ondraszka”, „Helokanie”, „Karolinka”, „Starzyk” i „Pieśń o Wiśle”. Melodia tej ostatniej awansowała do sygnału wywoławczego telewizji śląskiej w Katowicach oraz hejnału w Kurancie zegarowym na katowickim rynku. Fragment „Helokania” natomiast stał się hejnałem Cieszyńska i rozlega się z ratusza na wzór hejnału z Wieży Mariackiej w Krakowie. „Ondraszka” trafił do repertuaru Zespołu Pieśni i Tańca Armii Radzieckiej im. Aleksandrowa. Słyszałem też kilka wykonania i nagrań big-beatowych na ten temat. Najmilszy jest jednak fakt, że „Ondraszka”, jako pieśń bezimienna, śpiewają w górach pasterze. Ponadto temat „Ondraszka” wprowadziłem do większego widowiska, którego fragment pokazujemy podczas jubileuszowego koncertu dnia 29 bm. w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Układ taneczny tego widowiska opracowuje znany choreograf słowacki, prof. Jura Kubanka z zespołu „Sluk”.

(Kt—PAP)

rozmawiał:
BORYS MALICKI

RYSZARD DZIESZYŃSKI

Zbigniew Wawzczak

PIASTOWSKIE DZIEDZICTWO

Palma w Lubiechowicach należy ponoć do największych w kraju. Nie podejmuję się prowadzić sporu, które zajmuje miejsce, drugie, trzecie czy piąte po poznańskiej, uznawanej przez znajdujących się w naszej grupie wycieczkowej znawców przedmiotu za najokazalszą, największą.

Wraz z przewodnikiem, jowialnym panem, zakochanym w urokach Dolnego Śląska i bardzo umiejętnie odkrywającym przybyszom ukryte niekiedy ślady pierwotnej polskości tych ziem, przekroczyliśmy prógi lubiechowskiej palmy. Nie będę tu opisywał dziesiątków roślin, krzewów, kwiatów, drzew z rozmaitych stron świata, jako że nie znam na tym absolutnie i wyobrażam sobie, jakie byki mógłbym strzelić. Z wielu

sienia w palmy — książę nie godził się na żadną imitację, koniecznie chciał, aby to była autentyczna lawa!

Szczęśliwym trafem, książę ukończył budowę wystawnej palmy dla swej żony na kilka lat przed pierwszą wojną światową. Gdyby stało się inaczej, palma pozostałaby niedokończona bądź też zmieniłaby swą nazwę. Bo właśnie w czasie wojny losy książęcej pary ogromnie się pogmatwały, a co z tego wynikło — bezwzględnie opowiem. Książę Hochberg piastował wysoką funkcję na dworze cesarskim, był adiutantem samego cesarza Wilhelma II ostatniego z niemieckich cesarzy, który po zrzuceniu go z tronu przez rewolucję, oddawał się swemu ulubionemu zajęciu (pajsmi rąbał drzewo!). W czasie

go władcy, budowniczo dziesiątków tutejszych zamków, ryglujących doliny, przejścia graniczne przede wszystkim od strony Czech znajdujących się wówczas w ręku niemieckiej dynastii Luksemburgów, którzy ostrzyli sobie apetyt na bogactwa, doskonale zagospodarowane i rozwinięte kulturalnie ziemie śląskie. On to był wiernym sojusznikiem Władysława Łokietka i zwołaniem bliskich stosunków Śląska z macierzą, on ożenił swego syna Bernarda z Łokietkówną. Politykę dziada kontynuował wnuk, Bolko II Świdnicki, spokrewniony i zaprzyjaźniony z Kazimierzem Wielkim. Mała „Łokietkowa” powstała księżką z sarkofagu we wspaniałym barokowym kościele w Krzeszowie Śląskim, zrobiła na wszystkich uczestni-

sób materialny, nasze prawa do Dolnego Śląska. Byliśmy na tych ziemiach i po długiej nieobecności wróciliśmy — aby już nigdy stąd nie odejść.

Ale oto stoimy u stóp największego zamku w Polsce, zasłuchani w opowieści o dawnych czasach. Dowiadujemy się, jak ludne, dobrze zagospodarowane były te ziemie, w Polsce Piastowskiej należały do najbogatszych, jako uposażenie przypadły w udziale najstarszemu z synów Krzywoustego, seniorowi. To nie niemieccy koloniści doprowadzili do kwitnącego stanu, to nie niemieckie ręce wznosiły dziesiątki tutejszych zamków, budowały miasta, dwory, wsie. Wszystko to było dziełem ludu śląskiego, pracowitego, dzielnego. To właśnie jego rękami wypracowane bogactwa tej ziemi ściągały tu obcych, nęciły ich, aż z czasem osiadłszy w gościnnym domu zagarnęli rządy i doprowadzili do upadku właściwych gospodarzy.

Zamek w Książu, ogołocony z wyposażenia w czasie i tuż po ostatniej wojnie jest obecnie w stadium odbudowy. Trzeba będzie długoletnich starań, aby przywrócić go do dawnej świetności. Jego dewastację rozpoczęli hitlerowcy, kiedy wyrzuciwszy Hohenbergów, przystąpili do przebudowy zamku na kwatery dla Fuehrera, niszcząc zabawkowe kominki, rzeźby, sztukaterię. Pod zamkiem drążyli rozległe tunele, miała tędy prowadzić zamaskowana linia kolejowa. Wszystko to pozostało na szczęście niedokończonym, jak i całe obłędne imperium Hitlera. Ze względu na ogromne rozmiary obiektu, odbudowa największego zamku w Polsce potrwa lata. Decyzje co do ostatecznego przeznaczenia podobno jeszcze nie zapadły. Mówi się o turystyce zagranicznej, co wydaje się dosyć realne. Sliczne położenie Książa wśród wspaniałych lasów liściastych czyni z niego obiekt o dużym uroku. A tuż obok znajduje się piękna stadnina. Ze starannie utrzymanych boków o ścianach wylakowanych glazurą cegłą, wyglądają śliczne, rasowe konie. W kilka dni później podziwił się je na ogólnopolskich zawodach jeździeckich, które odbywały się na zielonych błoniach nieopodal zamku. Jeżeli będziecie w tamtych stronach — obejrzyjcie zamek w Książu. Wart jest tego.



„Zamknięte dookoła lasem piętrzyły się wyniosłe mury i wieże Książa...”

wyjaśnić pani, która nas oprowadzała, zapamiętałem zaledwie parę szczegółów. Uwierzyłem na słowo, że kwiat, którego oczywiście nam nie pokazano, bo kwiat tylko raz na dwa lata, ów kwiat któregoś z egzotycznych roślin jest tak duży, iż waży aż trzydzieści kg. Ba, rzucić w kogoś takim kwiatem! Pewno by tego nie przeżył! Dowiedziałem się również, że niepozorne czerwone kwiaty to ni mniej, ni więcej tylko chińska róża i że wobec tego nie można się już więcej powoływać na stare porzekadło „przysłowia mądrością narodów”, bo jednak są różę bez kolców!

Postaram się natomiast skleić ze strzępów wyjaśnień przewodników opowieść o losach budowniczych palmy. Zbudował ją jeden z ostatnich książąt pszczyńskich, właściciel ogromnych dóbr na Górnym i Dolnym Śląsku (zwiedzenie jego zamku w Książu stanowiło główny cel naszej wycieczki). Książę Hochberg miał śliczną żonę, z pochodzenia Angielkę, podobno wnuczkę słynnej królowej Wiktorii (od której imienia nazywamy całą epokę mianem wiktoriańskiej). Książę bardzo kochał swą żonę (kochało się w niej, co prawda nie wiem z jakim skutkiem — przewodnicy o tym milczeli), wiele ówczesnych znakomitości i aby dać wyraz swym uczuciom, wybudował dla niej palmy w Lubiechowicach. Palma ta kosztowała 10 lub 15 milionów marek w złocie (jak zwykle przy tego rodzaju okazjach, ludzie, którzy nie brali bezpośredniego udziału w realizacji inwestycji, skłonni są podawać rozmaite sumy, a sprawdzić nie było gdzie!), z Sycylii sprowadzono w tym celu kilka wagonów lawy, wylakowano ją rozmaite grotty i wznie-

wojny piękna księżna zajmowała się opieką nad jeńcami, rannymi. Wywiad cesarski ustalił, jakoby księżna wyjątkowo gorliwie opiekowała się swymi rodakami, Anglikami. Zrodziły się podejrzenia o szpiegostwo. Kiedy cesarz dowiedział się o tym, zaważwał księcia-adiutanta i zażądał, aby natychmiast rozwiódł się z żoną. Przewodnicy nie potrafili powiedzieć, jakie uczucia miały księżną. W każdym razie, jako karny poddany pruskiego króla rozwiódł się z żoną, poślubiając podsuniętą mu przez cesarza księżniczkę hiszpańską. Szesnastoletnią! Jakże były dalsze losy pięknej księżnej — przewodnicy nie wiedzieli. Podobno napisała dwa poetyckie i przełożone na język niemiecki romanse.

O tym wszystkim dowiedzieliśmy się w czasie krótkiej drogi, jaka dzieli palmy od Lubiechowic od zamku w Książu. W pewnej chwili autokar zagłębił się w bujną roślinność ogromnego parku. Wsiadliśmy i ścieżynką pośród drzew dotarliśmy do malej, kamienistej polanki. Stąd rozciągał się wyjątkowo piękny widok: bezpośrednio przed nami przepaść, z szumiącym gdzieś głęboko potokiem. Po przeciwległej stronie zamknięte dookoła lasem piętrzyły się wyniosłe mury i wieże Książa. Już w XI, XII wieku było tutaj jakieś grodzisko, którym władali piastowscy książęta. Do rządu stolicy regionu, księstwa świdnicko-jaworskiego, podniósł zamek w Książu, odpowiednio go rozbudowawszy, Bolko I, jeden z Piastów śląskich. W roku 1292 Bolko I przeniósł swój dwór, nazywając się od-tąd „panem na Książu”.

Z niekłamnym wzruszeniem oglądałem kilka dni później oryginalny sarkofag tego mądre-

kach wycieczki duże wrażenie. W obliczu pomników Piastów, spoczywających w rycerskich szatach ze śląskimi orłami na tarczach w krzeszowskim mauzoleum — zrozumieliśmy, że nie jesteśmy tu, na tej ziemi, przybłądami, przybyszami, którzy objeli cudze ziemie. Kamienne postacie książąt śląskich, najstarszych polskich władców tych ziem unaoznęły nam, drobnej grupie przybyszów z różnych zakątków kraju niejako w spo-

Teatralny ruch amatorski

Teatralny ruch amatorski ma w Polsce długą historię i ciekawą tradycję. W ubiegłym roku minęło 60 lat od powstania Związku Teatrów i Chórów Ludowych. A przecież na długo przedtem pojawiały się zespoły amatorskie grające sztuki dla publiczności. Terenem ich działalności była przede wszystkim wieś. Ale nie można też zapominać o awangardowym teatrze robotniczym.

Różne były drogi rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego i różne przyświecały mu cele. Wieś pozbawiona dostępu do ogólnonarodowej kultury, odizolowana od innych środowisk, sama tworzyła na swój użytek dobra duchowe. O ich wysokich niejednokrotnie walorach świadczą zachowane do dzisiaj elementy folkloru, uchronione przed zapomnieniem tylko dzięki zbieraczom i muzeom. Przez długie dziesiątki lat, aż do na-

szych czasów teatr na wieś nie docierał. Własnymi siłami tworzone amatorskie zespoły początkowo przez ziemiaństwo, a potem coraz częściej przez nauczycieli, działaczy społecznych i kulturalnych miały służyć zekulturowaniu ludności wiejskiej z tą dziedziną sztuki, dać jej namiastkę wizji prawdziwego teatru. Grano sztuki do śmiechu i do łez, jak powszechnie mówiono — „dla pokrzepienia serc”.

Nie można też zapominać, że w czasach niewoli obok dostarczenia beztraskiej rozrywki wielo amatorskich zespołów stawiało sobie ambitniejsze cele społeczne. Specjalnie dla tych teatrów pisane sztuki podtrzymywały tradycję narodową. Rzucamy w dom z scen słowem nieporadni artyści walczyli o wyzwolenie narodowe i społeczne. Oręza tego nie bagatelizowali zbory. Dowodem choćby kilkuletnie zabiegi Polaków u

Problemy kulturalne w ZRA

Na łamach kairskiego tygodnika „Rose el-Jussef” opublikowany został wywiad z wybitnym pisarzem egipskim Salah Abdel Sabburem na temat życia kulturalnego w Zjednoczonej Republice Arabskiej. Oto fragment tego wywiadu.

— Czy słuszna jest opinia, że w życiu literackim Egiptu dostrzec można pewien zastój?

— Nie zgadzam się z takim poglądem. Życie literackie nie można oceniać na podstawie jednego lub dwóch lat, lecz jedynie na podstawie dorobku całego pokolenia. A pokolenie nasze stworzyło wiele dzieł różnorodnych w zakresie poezji, dramaturgii, prozy i krytyki literackiej. Na naszych oczach wyrasta już pokolenie następne, które osiągnie swą twórczą dojrzałość w latach siedemdziesiątych.

— Istnieje pogląd, że Kair wykazuje zbyt mało zainteresowania dla twórczości pisarzy innych krajów arabskich. Co jest tego przyczyną?

— Rzeczywiście, kairskie czasopisma literackie zamieszczają materiały wyłącznie o życiu kulturalnym Egiptu, nie poświęcając wybitnym twórcom innych krajów arabskich ani jednej szpalty. A mimo to Kair nie przestał być centrum życia literackiego i kulturalnego arabskiego Wschodu. Twórczość literacka po dawnemu koncentruje się w Kairze, choć trzeba pamiętać, że ruch wydawniczy w ZRA jest wciąż jeszcze, niestety, daleki od możliwości zaspokojenia wszystkich potrzeb. Są trudności z bazą poligraficzną i papierem.

— Jak ocenia pan życie teatralne dzisiejszego Egiptu?

— Dawniej nasze teatry gubiły się w poszukiwaniu widza. Społeczeństwo było ogromnie zróżnicowane pod względem poziomu umysłowego, wykształcenia, a co za tym idzie — możliwości percepcji. W ostatnich latach znacznie zwiększyła się liczba absolwentów wyższych uczelni, tworzących kadry inteligencji pracującej. Chętnie garną się oni do teatru i to do teatru na wysokim poziomie.

galicyjskich i wiedeńskich władz o powołanie do życia Związku Teatrów i Chórów Ludowych.

Po odzyskaniu niepodległości w okresie międzywojennym zniknęła potrzeba walki o zrzućenie pięty zaborczych. Teatr amatorski bardzo często angażował się teraz do szerzenia idei sprawiedliwości społecznej. Nadal stanowił też jedyną dla Melpomeny wąską ścieżkę na wieś. Dużym osiągnięciem amatorskiego ruchu w przedwojennej Polsce były „cierniakowskie” widowiska ludowe w plenerze. Mimo znacznych nieraz osiągnięć artystycznych i społecznej funkcji, jaką odgrywał — teatr amatorski tamtych czasów — pozostał kopciuszkiem wielkiej sceny zawodowej. Wprawdzie ją zastępował, ale porównanie z nią nie może przecież być brane w rachubę. Byłoby to z gruntu fałszywym kryterium oceny.

Julian Woźniak

TAJEMNICE POWODZENIA MIELECKIEGO ZDK XV-lecie działalności

Przysłowiowe morze atramentu spisano już na temat działalności Zakładowego Domu Kultury Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu. Niejedną audycję poświęciło tej popularnej placówce kulturalno-oświatowej Polskie Radio, a i Telewizja Polska nie pozostała w tyle, popularyzując osiągnięcia mielczan. Nie tylko zresztą środki masowego przekazu. O wysokim poziomie pracy mieleckiego ZDK świadczą liczne nagrody, wyróżnienia, puchary, dyplomy na różnych konkursach, festiwalach i plebiscytach.

Dziś, gdy Zakładowy Dom Kultury WSK w Mielcu przygotowuje się do jubileuszu 15-lecia, nadarza się okazja, by ukazać jego piętnastoletni dorobek, dokonując jednocześnie oceny tej działalności.

Warto przypomnieć wyniki Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, najbardziej masowej imprezy zorganizowanej dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego przez Centralną Radę Związków Zawodowych i Ministerstwo Kultury i Sztuki, która była konfrontacją osiągnięć związkowych placówek k.o.

I właśnie najlepszy w województwie okazał się mielecki ZDK, który zdobył pierwsze miejsce w konkursie „O najlepszy program i najszerzy zasięg działania”.

W Festiwalu Kulturalnym Związków Zawodowych uczestniczyło 17 mieleckich zespołów. Pierwsze miejsce w skali krajowej zajęła kapela ludowa ZDK, a solista Antoni Czachor okazał się najlepszym w kraju instrumentalistą. Wysokie lokaty — trzecie miejsce w kraju — przyznano zespołowi baletowemu, chórowi, orkiestrze dętej i zespołowi teatralnemu, a mieleccy fotograficy i plastycy, zgrupowani w kółkach zainteresowań Domu Kultury WSK, zostali wyróżnieni. Ponadto biblioteka, w konkursie „Blżej książki współczes-

nej” zajęła pierwsze miejsce w województwie, a kino związkowe ZDK — pierwsze miejsce w kraju w konkursie plebiscytcie „Poznajemy film polski”. Wyniki te są najlepszą wizytówką mieleckiego jubilat.

Dodamy jeszcze sukcesy, jakie na swoje konto zapisał Zespół Pieśni i Tańca „Rzeszowiacy”, który awansował do rangi reprezentacyjnego zespołu Związku Zawodowego Metalowców. Zespół z powodzeniem popularyzował nasz folklor na koncertach w Związku Radzieckim, Czechosłowacji, na Węgrzech i w Jugosławii, nie licząc występów na najbardziej reprezentacyjnych estradach w kraju.

Wróćmy jednak do konkursu „O najlepszy program i najszerzy zasięg działania”, który obejmował całokształt działalności. Zaczniemy od drugiego członu tego hasła „najszerzy zasięg działania”.

Okazały gmach, zamykający północną „ścianę” placu Centralnego nowego Mielca — to Zakładowy Dom Kultury WSK. Tu koncentruje się życie kulturalno-oświatowe miasta i powiatu.

Wejźmy do środka. W foyer, jak zwykle, wystawa. Tym razem ekspozycja interesujących fotografów. Kasa kina związkowego, kawiarenka, sala prób dziecięcych zespołów muzycznych oraz — biblioteka. Jeden z najpopularniejszych działów pracy ZDK.

Księgozbiór liczy blisko 26 tys. tomów, z czego w ciągu ostatnich 5 lat przybyło 6 tys. woluminów, a to chyba niewymownie świadczy o bieżącym uzupełnianiu księgozbioru nowościami wydawniczymi. Ale nie tylko księgozbiór. Wzrosła również ilość czytelników. W ciągu ostatnich pięciu lat przybyło ich ponad 1500, a ilość wypożyczeń skoczyła z około 80 tys. rocznie do blisko 100 tysięcy.



Dziecięcy zespół baletowy ZDK w Mielcu.

Co najchętniej w Mielcu czytają? O tym mówi zwycięstwo biblioteki w konkursie „Blżej książki współczesnej”.

Dalej zwiedzamy budynek ZDK. Dwie sale teatralne, sale prób, odczytowe, telewizyjna. Wszystkie pomieszczenia racjonalnie wykorzystane. Ustalony harmonogram zajęć nie zostawia pustych okienek. W godzinach popołudniowych i wieczornych w Zakładowym Domu Kultury WSK Mielec zawsze coś się dzieje.

Aktualnie w próbach licznych i różnorodnych zespołów artystycznych ZDK uczestniczy blisko siedmiuset członków, pracowników mieleckiej WSK i członków ich rodzin. A przecież poza zespołami artystycznymi w zespołach oświatowych i kółkach zainteresowań zarejestrowanych jest blisko dwa tysiące osób, głównie dzieci i młodzieży.

Zresztą kierownictwo mieleckiego ZDK w swoim programie działania, szeroko uwzględnia właśnie pracę wśród dzieci i młodzieży, współpracując w tym zakresie z kierownictwami szkół i ZHP. Pod kierunkiem wysoko kwalifikowanej kadry instruktorów młodzi mają tu okazję rozwijać swoje zainteresowania. Ogromnym powodzeniem cieszą się kursy języków obcych, np. zajęcia młodzieżowego klubu miłoś-

ników lotnictwa. Pod kierunkiem mgr inż. Stanisława Orczykowskiego młodzi entuzjaści podniebnych lotów zdobywają podstawowe wiadomości z zakresu historii lotnictwa, budowy silnika, techniki lotów. W ten sposób ZDK przygotowuje zaplecze kadrowe dla Aeroklubu i Politechniki. I nie tylko, bo młodzieżowych kółek zainteresowań działa tutaj szeroki wachlarz, o różnych kierunkach i specjalnościach. A więc zasięg działania w zakresie tematyki i liczebności zainteresowanych. Słowem — dla każdego coś miłego i pożytecznego! To zawołanie w mieleckim ZDK ma pełne pokrycie.

A przecież działalność popularnej mieleckiej placówki k.o. opiera się nie tylko na pracy stałych zespołów artystycznych i kółek zainteresowań. Istnieje jeszcze druga o wiele szersza płaszczyzna tej działalności. To działalność dla ogółu, dla środowiska. Jest ona dwójakiego rodzaju. Imprezy z udziałem zespołów własnych (w tych w ciągu ubiegłego roku uczestniczyło ponad 35 tysięcy widzów), oraz odczyty, spotkania z ciekawymi ludźmi, i imprezy o charakterze oświatowym. Te ostatnie przyciągają coraz szersze kręgi słuchaczy. Podczas gdy w 23 odczytach zorganizowanych w roku 1960 uczestniczyło około 2 tys. osób, to w 89 odczytach zorganizowanych w roku ubieg-

łym wzięło udział ponad 15 tysięcy słuchaczy. Podobne proporcje na plus zaobserwować można w statystykach spotkań, imprez oświatowych i wystaw organizowanych przez ZDK WSK Mielec. I te właśnie liczby najwymowniej świadczą o najszerzym zasięgu działania.

A człon pierwszy konkursowego hasła „O najlepszy program...”? Nierozdzielnie jest związany z członem drugim. Dobry, odpowiednio zaproponowany środowiskowo program stał się decydującym elementem szerokiego zasięgu działania!

— Zapraszamy do naszego Domu Kultury — mówi kierownik Franciszek Duszlak — takich instruktorów, prelegentów i wykładawców, którzy gwarantują wysoki poziom prowadzonego zajęcia oraz jego atrakcyjność. To jest pierwszy i podstawowy warunek powodzenia imprezy. Drugi, to uczulenie na sprawy aktualne, problemy, które w danym momencie nurtują środowisko... Nie chodzi nam jedynie o to, by ludzie przyszłi na projekcję filmową czy odczyt. Dajmy do tego, by ci ludzie, wychodząc z naszej imprezy, byli przekonani, że poznali coś nowego, nauczyli się czegoś, zrozumieli. Wystawę organizujemy nie dlatego, by ludzie obejrżeli obraz, lecz żeby nauczyli się patrzeć na dzieło sztuki. By na koncercie wiedzieli, jak słuchać muzyki. Jest to nasze długofalowe zadanie, które systematycznie realizujemy.

W wypowiedzi kierownika Fr. Duszlaka zawarta jest tajemnica powodzenia mieleckiego ZDK. Tajemnica najlepszego programu i najszerzego zasięgu działania! Systematyczność, atrakcyjność tematyki, wysoki poziom prelegentów, wykładawców i instruktorów, wyczulenie na bieżące zapotrzebowanie środowiska. Niemały wpływ na te osiągnięcia ma Komitet Zakładowy PZPR, Rada Zakładowa i Dyrekcja WSK, gdzie kierownictwo ZDK zawsze otrzymuje życzliwą poradę, opiekę i pomoc.

Oceniając ostatnio na konferencji partyjnej WSK Mielec działalność Komitetu Zakładowego PZPR — członek KC, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego tow. Władysław Kruczek — powiedział:

„W Mielcu macie dobrą tradycję pracy kulturalno-oświatowej. Dużą wagę przykładacie do sprawy rozwoju kultury. I robicie to bardzo dobrze”.

Niech te słowa będą oceną mieleckiej placówki w jubileuszowym roku działalności.

WOJCIECH JANKOWERNY

do wychowania wczesnego programu

Zdawać by się mogło, że w Polsce Ludowej dzięki bujnemu i wszechstronnemu rozwojowi kultury zjawisko ruchu amatorskiego ulegać będzie zanikowi. Zespołom wystawiającym sztuki odpadły wszystkie dotychczas przyswajające ich przedsięwzięciom cele. W dziedzinie oddziaływania ideowego pozostało im popularyzowanie zaangażowanej postawy w stosunku do dokonujących się w naszym kraju przeobrażeń. Ale funkcję tę spełniać mogą z powodzeniem teatr zawodowy i inne środki masowego oddziaływania. Nie można również już mówić o wspieraniu czy zastępowaniu przez ruch amatorski scen zawodowych. Istnieją przecież w kraju liczne teatry objazdowe docierające ze spektaklami do miasteczek i wsi. Dzięki konkursowi „Blżej teatru” zainicjowano akcję dowożenia widzów do teatrów. Świetny teatr telewizyjny dostarcza kil-

ka spektakli tygodniowo wprost do mieszkań widzów w najodleglejszych nawet zakątkach kraju. Każdy chętny obejrzenia sztuki może zaspokoić swe potrzeby w teatrze z prawdziwego zdarzenia.

Mimo to ruch amatorski nie zanika, a wręcz przeciwnie coraz bardziej się rozwija. Powstają wciąż nowe jego formy, rodzą się nowe koncepcje. Trudno nawet w tej chwili dzielić zespoły według tradycyjnych kryteriów — wieś i miasto. W obydwu środowiskach spotkać można równorzędne ambitne przedsięwzięcia i niewypały. Zaprzestano też uprawiania specjalnej, drugorzędnej twórczości dla teatrów amatorskich. Korzystają one z tego samego repertuaru, co teatry zawodowe. We wsi szczytniejszej zadziwić może widza teatr poezji inscenizacji poematu Gałczyńskiego — „Niobe”, w łódzkiej

sceniczną adaptacją „Trismusa” Grochowiaka, a w rzeszowskiej — barwnym widowiskiem ludowego obrzędu. Tym różnorodnym przedsięwzięciom stworzono niespotykane nigdy dotychczas warunki rozwoju. Uruchomiono całą państwową sieć poradnictwa artystycznego. Wprawdzie można do jej funkcjonowania zgłaszać wiele zastrzeżeń, ale przecież istnieje i służy pomocą zespołom.

Czemu przypisać tak dużą popularność amatorskiej działalności oraz, jakie rysują się przed nią funkcje i zadania? Oto podstawowe pytania nurtujące pracowników kultury. Niebagatelną rolę odegrało w tym względzie wspomniane już poradnictwo, a także stworzenie lokali i scen warunkujących pracę zespołów. W miastach i wsiach terenem ich działalności są liczne domy kultury, kluby, świetlice i bi-

blioteki. Rozwój ruchu amatorskiego świadczy też o rosnącym zainteresowaniu społeczeństwa problematyką teatralną. Amatorzy oglądając sztuki pragną spróbować swych sił, poznać kulisy sceny w autentycznym z nią zetknięciu.

Z tych przesłanek, a także dzięki zakorzenionym wciąż jeszcze tradycyjnym nawykom, zespoły usiłują niekiedy nadal zastępować teatr zawodowy, a nawet z nim rywalizować. Nie w tym jednak tkwi ich podstawowe zadanie i nie to będzie ich przyszłością. Zespół pracujący nad wystawieniem sztuki stanowi świetną i praktyczną szkołę przekazyującą amatorom wiedzę o teatrze i literaturze, kształtującą ich estetyczne gusty. I tylko taka jego funkcja zagwarantować mu może na przyszłość trwałe miejsce w naszej kulturze.

NAJLEPSZE PRACE W CZERWCU

Niesłabnącym zainteresowaniem wśród artystów cieszył się stały konkurs na najlepszą grafikę i rysunek miesiąca zorganizowany przez Międzynarodowy Klub Książki i Prasy, Wydział Kultury Prez. WRN i „Nowiny Rzeszowskie”.

W czerwcu z okazji Dnia Dziecka organizatorzy postanowili przyznać dodatkową nagrodę dla autora najlepszej pracy poświęconej naszym najmłodszym.

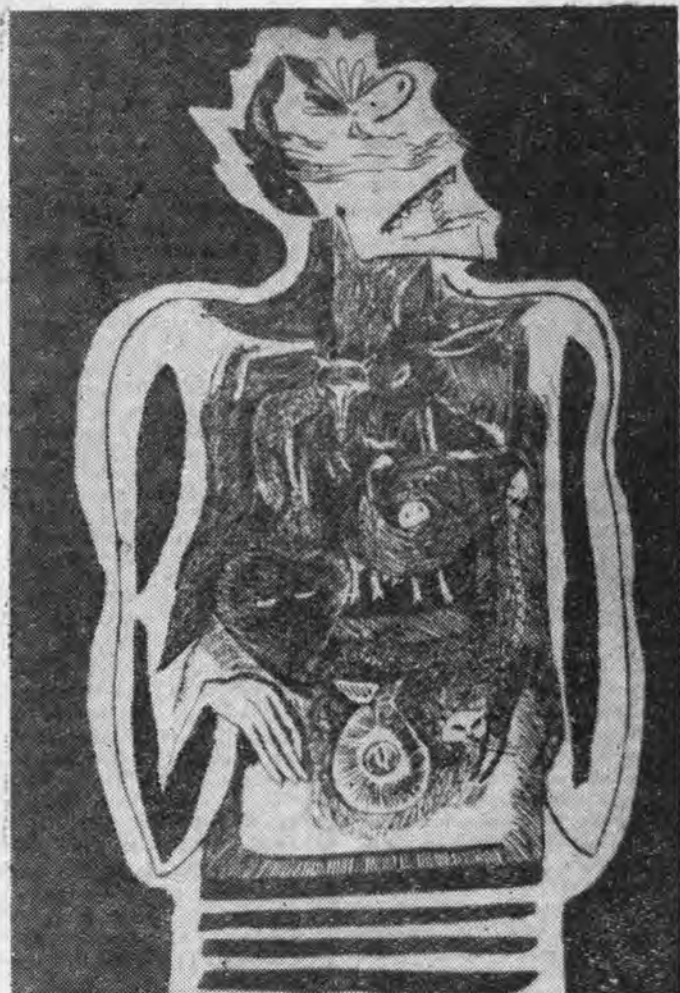
Wysoki poziom prac i oryginalna tematyka sprawiły niemałe kłopoty jury, któremu przewodniczyła MARIA LACH-TARA.

W dziale grafiki nagrodę uzyskał STANISŁAW KUCIA za pracę „Anatomia”, za rysunek nagrodę otrzymał WŁODZIMIERZ KALKOWSKI — „Słoneczniki na oknie”. Nagrodę za najlepszą pracę o tematyce dziecięcej zdobyła BOŻENA KARSKA — „Zaczarowana piłka”.

Ponieważ otrzymujemy liczne zapytania w sprawie warunków konkursu, informujemy, że w konkursie na najlepszą pracę miesiąca mogą brać udział tylko członkowie Polskiego Związku Artystów Plastyków.



Bożena KARSKA — Zaczarowana piłka



Stanisław KUCIA — Anatomia



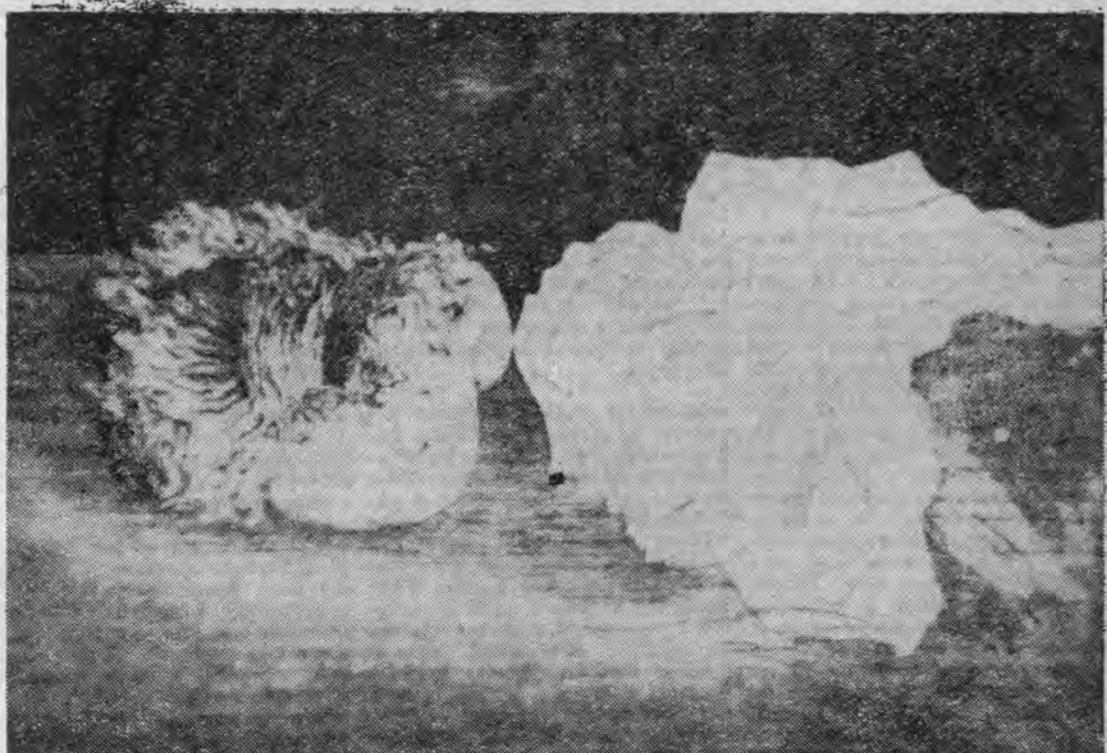
Śmierć kwadratowego Kindry chodzi mi po głowie. Mąci dzień, zakłóca noc i kluje jak cierń wbity w stopę. Parzy i boli. Był Kindra pastuchem gromadzkim. Świtami przesuwiała się główną ulicą wioski jego szara postać w zgrzebnym, konopnym odzieniu, ogromna jak złom skalny, tyleż długi co i szeroki. Kurzył zielonego skręta z samosiejki i otaczał wprawnie, jakby od niechcenia, dudniące glucho stado, świszczącymi błyskawicami pastuchowskiego bicia. Bydło niżej kładło głowy, przyspieszało biegu i wtedy tłusty, sinawo złoty pył, przykrywał niebo, zagrody i oślepił oczy.

Lubiłem Kindrę. Jego konopna wereta przetykana brązowymi nitkami samodziałowej wełny udzielała nam posłania, koło starego parowu na granicy pól żnibrodzkich i beremiańskich. Przykrywało nas jak pogodny sen czyste niebo stepowe. Kindra wyjmował z płócianej torby słoninę i chleb czarny. Smarował skórę chlebną czosnkiem i częstował mnie mówiąc: „Jedź synku, jedź na pożytek swój, to zdrowe”. Jego opowieści o stangreckiej służbie u panów rozweselały nas, kładąc jasną smużkę zapomnienia na groźny czas wojenny. Kindra drobił kozikiem słoninę, mrużył do słońca swe siwe oczy i wolno, cichym głosem wskrzeszał łakomie umarły bezpowrotnie świat panów — szlachty polskiej. Rozsnuwał przed nami przygasłe wizje odeszłych czasów. Dźwięczały nieporadnie w jego opowiadaniach kryształ i srebra uczt, zawodziły przenikliwie janczarki kuligów, klekotały

szcześliwie kołatki nagania-czy na polowaniach. „Ech... widzisz ty, było życie, było, tylko, że nie dla wszystkich. Ale com się napatrzyło to moje”. Odurzały nas kindrowe opowieści tematem niedorzecznych rojeń o życiu bogatym, nie dla nas. Posapywało wokoło bydło, szemrały trawy. Słońce wznosiło się wyżej. Zachodził cieniem, napełniał się chłodem i usypiał nas stary parów, gdzie pierwszej wojny światowej, bratali się w czas świąt wielkanocnych żołnierze austriaccy z rosyjskimi, a w letnie niedziele dziewczęta z wioski wily wianki z polnych kwiatów i mięty. I tylko zrywał nas na nogi charkliwy ryk niemieckich samolotów. Przelatywały nisko nad nami jasnozielone brzuchy transportowców, zbryzgane podłużnymi plamami zacieków oliwy i smarów, mknące het, het ku czarnomorskim lotniskom Rumunii.

Był już chyba 1943 rok. Miał Kindra chatę pod lasem i 2 morgi gruntu, którego dorobił się za... rycerskość. Stangretował ci nasz Kindra za młodu u hrabiego Potockiego w Buczaczu. Przyszło mu raz wieść plenipotentę hrabskiego z żoną. Krewki był ten plenipotent, Czech z pochodzenia. Toczyła się bryczka szparko, płynąc w gestych baniach kurzu po drodze podolskiej, polnej, gdy Czech z dawną podejrzewającą żoną o niewierność podniósł na nią rękę. Zatrzymał Kindra zgnęła konie. Zsiadł z kozła. Ujął biczysko za cieńszy koniec. Nie po przyjaźni bynajmniej zbliżył się do rzadcy. „A czemuż to jaśnie wielmożny plenipo-

tent” zaczął mruzczyć leniwie Kindra, wbiwszy w Czecha siwe oczka, „więcej takie niejasne i chamskie nawet można powiedzieć pańskie wychowanie, zachowuje się jak, przepraszam, chudoba z wioski lub jeszcze gorzej przepraszam, jak opity chłop na weselu?”. Gruby kark Czecha napeczniał i przybrał barwę nasyconego obfitego fioletem amarantu. Zająknął się, zakrztusił i poczał jak ryba gwałtownie łapać ustami z grubszego końca. „Na stąbowitą przecież z przyrodzenia niewiastę swoją, ręce be-dziesz podnosił, grom by cię zatkanął i upiekł. A masz panie z chlewa rodem. Masz!” Po czym zostawiwszy w polu osłupiałego plenipotentę zaciął konie. Zdawałoby się, że Kindra zgnije w wężeniu, lecz o dziwo. Sam graf Potocki, pan na Buczaczu, Podkaminieniu, Podzameczku, Szutromińcach, Zaleszczykach Małych i Żyznomierzu wezwał go przed swoje oblicze. Nie lubił on Czecha i incydent na polnej drodze, szczerze go ubawił. Zielony ze strachu, lecz i zacięty po wojskowemu, na bacność stanął Kindra przed hrabiowskim okiem. Poklepał go przyjaźnie po twarzy Potocki, dał cygaro i koniak, po czym zaniósłszy się głośnym śmiechem, wepchnął Kindrę w głąb skórzanego fotela. „Zuch z ciebie chłopcze! Zuch! No mów szybko co chcesz? Ale szybko... Pieniądze czy grunt?” — „Grunt” wypalił bez namysłu Kindra. I tak oto stał się posiadaczem 2 morgów ziemi. „Lubił mnie panie” — wzd-



Włodzimierz KALKOWSKI — „Słoneczniki na oknie”

chał. „Leciał grosz srebrny od nich. Ech ty Kindra! Siedzisz na koźle jak pomnik rycerza dumnego” — mówił. „Niby, że stangrecka podstawa foremna u mnie była. Z panami to ja często po równi byłem. Ze służbą — posi-pakami dworskimi — nie. Raz z karbowym wadzki mi się przyszło. W karczmie ta zwada była. Stangrectwo temu synowi, takiemu i owe-mu zamajaczyło się, a nie krzyczenie na naród przy za-gonie. „Coś ty taki zadufany w sobie i hardy Kindra?” On do mnie. „Z panami jeżdżisz i zapomniałeś jak gnój pach-nie. Ja trzy razy matkę two-”

„Jak ty trzy moją, tak ja sześć po pięć twoją i fuch, buch, buch mu na głowę halbę piwa”. Śmiechu było, oj było. Niech mi na matkę nie wchodzi, niech mi, cygańskie jego przedmieście, na matkę nie wchodzi”.
Gospodarzył sobie Kindra na tych swoich dwóch mor-gach i pasał bydło gromadzkie. A umarł tak. Było to już za drugich ruskich, latem 1944 roku. Pędził ci on Kin-dra po dobroci sąsiedzkiej nie swoją, lecz cudzą, bo sta-rej Wiktuni krowę. Do byka, w Łtaczcu nad Dniestrem pędził. Żeby to choć swoją... Na świerzkowieckich polach

zatrzymało go trzech bande-rowców. „Ty Polak?” Zapytał pierwszy z nich — wysoki, barczysty. „Tak, — Polak” rzekł bez strachu Kindra. „Tyś braci naszych, Ukrain-ców mordował” — powiedział sepleniąc drugi, niewysoki, czarniawy.
„Patrząc na te ręce dziecia-ku”, powiedział Kindra. „Je-den mozół na dloniach wid-zisz. Z pracy. Żadnej krwi nie mam na sumieniu”.
„Zegnaj się”, powiedział ten mały, czarniawy.
Kindra uczynił znak krzy-ża.
„Po cerkiewnym, trzema palcami się zegnaj”.
„Pan Bóg dai mnie i tobie synu, jakęś się rodził, pięć palców”.
„Boisz się lasze nasienie śmierci”.
„Ty też będziesz umierał synu”.
„Ze w Boga wierzysz um-rzesz jak Chrystus”.
„Twoja wola i grzech na twoje sumienie pójdzie”, po-wiedział Kindra i to były je-go ostatnie słowa na ziemi.



Rys. J. SIENKIEWICZ

Czarniawy wyjął szybko z chlebaka długie, prostokątne pudełko, z którego wysypał na trawę gwoździe. Zaświeciły one w słońcu jak kupa srebrnego, nieruchawego ro-bactwa. Milczący dotychczas, trzeci, ospowaty z niskim czołem miłosiernie uderzył o-burącz Kindrę kolbą automa-tu w głowę. A potem przy-bito go do wierzby jak na krzyż. Ospowaty, ogarnawszy rękawem pot z czoła, puścił pastuchowi Kindrze serię z automatu w brzuch, serce i oczy. Czarniawy pobierał resztę gwoździ z trawy i wrzucił je do chlebaka. Zapalili i odeszli. Słońce zaczęło się staczać ku zachodowi. Z pól dobiegały przyciszone da-lą odgłosy ostrzenia żniw-nych kos. Powietrze było czyste i rześkie jak zawsze przed wieczorem. Gdzieś w centralnej Polsce dochodziły do brzegów Wisły zbrojne w pepesze zagony riazzańskich chłopców. Krawawiła się War-szawa. A na Podolu, jaśniał na miedzy przybity gwoź-dziami do polnej wierzby, trup Jędrucha Kindry. Rano pastuszkowie zdjęli ciało i zanieśli je na konopnej wercie do Żnibród. Wieś wyległa na opłotki. Zalkała sygnatur-ka. Zakolysał się za jarem beremiański dzwon. Stłoczyli się tłumnie za ciałem ludz-i wśród jęku, płaczu i zawo-dzenia bab niesiono Kindrę do kaplicy. Krowa długo nie chciała odejść od wierzby. Obchodziła ją wkoło, porykując przeciągle i żałośnie.



Przed tygodniem obchodził ju-bileusz 4500-wydania Dziennik — najpopularniejsza gazeta dnia, w której zamyka się kwint-esencja tego, co bulwersuje świat i kraj, gazeta, dodajmy, coraz doskonalej preparowana i, jak wykazały ostatnie miesią-ce, umiejętnie sięgnąć w rejony aktualnego komentarza oraz zwięzłej publicystyki; w ostat-nią niedzielę mieliśmy nowy ju-bileusz: obchodził go bez uro-czystych przemówień i darowu-jąc sobie odświętną pompę re-daktor Janicki w programie „W starym kinie” — po raz 50 goszczącym na małym ekranie.

Lubię ten program i z sympati-ą żywą poświęcam mu godzi-nę niedzielnych przedpołudni, bo wielce sympatyczny mi jego autor i podziwu godną cierpli-wość szperacza nam serwuje. „W starym kinie” — to nie jest beznamietna historia filmu światowego, opowiadana chro-nologicznie; Janicki uprawia tu prasową publicystykę krytyka filmowego: interesuje go przede wszystkim problem, zagadnienie z historii sztuki filmowej, wo-kół którego buduje godzinę wspomnień, podporządkowując wyświetlany fragment filmu ar-chiwalnego konsekwentnie myś-li przewodniej. Tak powstają małe, zamknięte całości tema-tyczne, zwarte, inteligentne, da-jące satysfakcję widzowi dwo-jakiemu — i temu, który fil-mem interesuje się prawdziwie i temu, który poprzez telewizję, zetknął się z jego historią po raz pierwszy.

Jubileuszowe wydanie „Stare-go kina”, zupełnie szczególnie, bardzo starannie obmyślane — to właśnie przykład osobistej polityki, dodajmy zaraz — mą-drej polityki autora, by zadowo-lić wszystkich nie efekciarstwem, a interesującym zestawem za-gadnień: film przygodowy i liczne remake „Trzech muszkie-terów”, film artystyczny i trzy

wersje słynnego monologu Ham-leta oraz typowy przedstawiciel science-fiction, sensacji nauko-wej na kosmiczne tematy (fil-mik Ludwika Perskiego, Józefa Szajny, Gustawa Holoubka i Adama Hanuszkiewicza) cenit wypada tu najwyżej, nie tylko jako interesującą propozycję ar-tystyczną, ale przede wszystkim dla samego pojawienia się przed milionową widownią, bowiem polityka rozpowszechniania kró-tkiego metrażu w kinach — to ciągle sprawa przepadku i... licznych przypadków. Jeśli za-podstawić pod te obszerne frag-menty inteligentny komentarz Janickiego, wyjaśniający, uczą-cy dobrego kina bez stękania i nudy — niechże ten pięćdziesią-ty jubileusz będzie zaledwie wstępem do pięćsetnego.

Z innych programów rozpo-cyna się okres wakacyjnych pożegnań: pożegnał się Jacek Fedorowicz, w ostatnim schow na małżeńskie tematy, pożegnał Lech Terpilowski, dając ode-tchnąć od giedy piosenek, któ-rą ani chce, ani może polubić — rozpoczynają działalność Teleferie, czyli zespół programów pożytecznie-rozrywkowych dla młodzieży. W tę cenną pozycję widzę jednak, że wkradła się bardzo przeze mnie nie ceniona „Wojna domowa” na zasadzie ubiegłorocznych „Pancernych”. Za dużo już było moich „nie” w sprawie zientariady, by się powtarzać, ale pytanie ciśnie się na usta: czego to chcą autorzy Teleferii nauczyć ową zientaria-dą, w której brakło umiaru, e-lementarnych zasad wychowaw-czych, a dwoje jej bohaterów zdają mi się najmniej sympat-ycznymi młodymi ludźmi, ja-kich wydała ziemia pod polskim niebem. Porównywać ich do przygodowo-dydaktycznej e-po-poi o pancernych, zda mi się podobne do porównań między Trędowatą a Panem Wołody-żskim — więc reszta niech będzie milczącym protestem.

KSIĄŻKI

Krzysztof Teodor Toeplitz: SNIA-DANIE LUDOZERCY. KiW, s. 290, cena 20 zł.
Są to felietony drukowane w ty-godniku „Kultura” w latach 1963-1966, w rubryce „Kuchnia polska”. Autor pisze, że jeśli chodzi o za-wartość zbioru: „...nie widzę inne-go sposobu na zapoznanie się z nią, jak przeczytanie książki”. Zastoso-wałem się do rady. Zawartość to głównie poglądy autora na sprawy kultury i ludzi ją tworzących. Re-zultat jednak trzeba przeczytać same-mu.
Roman Bratny: CIĄGLE WCZO-RAJ. Iskry, s. 259, cena 12 zł.
Na tom składają się trzy utwo-ry autora „Kolumbów rocznik 20-ty” — „Ciągłe wczoraj”, „Ciemelega i inni” oraz wydana po raz drugi „Nauka chodzenia”. Wczorajszy dzień tkwi stałe w człowieku współczesnym. Dużo reminiscencji do czasów wojny i okupacji oraz lat bezpośred-nio powojennych.
Zbigniew Krempf: ROGATE KU-LE. MON, s. 143, cena 7 zł.

Plon konkursu, już trzeciego, Wy-dawnictwa MON. Za tę książkę o-trzymał autor wyróżnienie. Na wy-zwolonym Wybrzeżu zaczyna się tworzyć ludowa Marynarka Wojen-na. Mundury ubierają rozmaitel lu-dzie. Ich przygody w latach nie-ufności są tematem tej książki.
Tadeusz Kraszewski: WÓZ WA-GANTÓW. Wyd. Poznańskie, s. 316, cena 33 zł.
Drugie wydanie powieści dla mło-dzieży z okresu Polski szlacheckiej. Są wszystkie elementy przygodowe. Jest konflikt społeczny, tło obycza-jowe. A więc życzyć przyjemnej lek-tury.
Andrzej Szomański: WALECZ-NYCH TYSIĄC... MON, s. 344, ce-na 20 zł.
Z dziejów 4 pułku piechoty llnio-wej Wojska Polskiego 1815-1831. O pułku tym śpiewano pieśni. Jest synonimem bohaterstwa. Książkę, mimo aparatu naukowego, czyta się szybko i dobrze.
Janusz Wojciech Rosiński: Z TAR-CZA LUB NA TARCZY. Wyd. Mor-skie, s. 262, cena 22 zł.
Rosińskiego znamy jako autora „Persów”. Dziś prezentuje nam dwa nowe opowiadania historyczne. Bohater pierwszego Charapinos, po-stać fikcyjna, walczy w IV wieku p.n.e. w najemnych oddziałach wojsk spartańskich o wyzwolenie miast greckich z niewoli perskiej. Akcja drugiego opowiadania noszą-cego tytuł „Syfaks” rozgrywa się w III w. p.n.e. Bohater tytułowy, po-stać historyczna, władca Numidów musiał wziąć udział w konflikcie zbrojnym między Kartaginą a Rzy-

mem. Co z tego wynika... Ciekawe.
Wiktor Buch: POLSKA ROKU 1965. KiW, s. 172, cena 8 zł.
W serii „Problemy, polemiki, dys-kusje”. Jak będzie wyglądał nasz kraj za lat dwadzieścia? Czy mo-żemy to dzisiaj przewidzieć? Tymi problemami zajmuje się „futurolo-gia”, nauka o przyszłości. I wła-snie statystycy, planiści już dziś snują koncepcje. Jak one wyglada-ją dla nas? Poczytajmy...
Erich Auerbach: MIMESIS. Rze-czywistość przedstawiona w litera-turze Zachodu. Tum. Z. Zabłcki. PiW, t. I/II, s. 462-443, cena 80 zł.
Niemiecki autor był profesorem romanistyki w Stambule i Yale. Zmarł w 1957 roku. Jest twórcą pomnikowej historii realizmu w piś-miennictwie europejskim. To wia-snie prezentowana „Mimesis”. Jest to interpretacja dwudziestu tekstów europejskich, ułożonych w porządku chronologicznym. Np. „Odyseja”, „Pleśń o Rolandzie”, „Gargantua i Pantagruel”, „Don Kichot”, „Świę-tozsek” i inne. Wzorcowe przykła-dy współczesnej sztuki analizy sty-listycznej.
ERGONOMIA. Zagadnienia przy-stosowania pracy do człowieka. KiW, s. 444, cena 50 zł. „Biblioteka Nauki o Pracy”.
Trudno odpowiedzieć jednym słowem co to jest ergonomia. Jest to bowiem i metoda analizy układu człowieka — praca, wchodzi w jej skład elementy psychologii przem-yślowej, fizjologii pracy, higieny pra-cy i jej warunki, pomiary antropo-metryczne, organizacja stanowiska roboczego itp. W Polsce prowadzo-no już w kilku zakładach mecha-

nicznych badania ergonomiczne z zastosowaniem tzw. „listy dort-mundzkiej” (ergonomicznej listy kontrolnej). O tych wszystkich mą-drych sprawach piszą autorzy w siedmiu kolejnych rozdziałach.
Nowości prawnicze:
KOSZTY SADOWE I ARBITRA-ZOWE ORAZ OPŁATY NOTARIAL-NE I ADWOKACKIE. Tabele wpis-ów sądowych oraz opłat notarial-nych i adwokackich. Stan prawny na dzień 31 III 1968 r., s. 318, ce-na 25 zł.
PREZYPISY O PROKURATURZE PRL. Wg stanu prawnego na dzień 15 kwietnia 1968 r., s. 66, cena 4 zł.
USTROJ ADWOKATURY. Ustawa o ustroju adwokatury oraz przepisy wykonawcze. Wg stanu prawnego na dzień 1 marca 1968 r., s. 91, ce-na 5 zł.
KODEKS KARNY I PRAWO O WYKROCZENIACH. Wraz ze skoro-widzem rzeczowym ważniejsze usta-wy szczególne. Stan prawny na dzień 1 lutego 1968 r., s. 730, ce-na 48 zł.
KODEKS CYWILNY wraz z prze-pisami wykonawczymi i skoro-widzem. **KODEKS RODZINNY I OPIEKUŃCZY. PRAWO PRYWATNE MIĘDZYNARODOWE.** Stan prawny na dzień 1 marca 1968 r., s. 504, cena 39 zł.
Eugeniusz Modliński: PODSTA-WOWE ZAGADNIENIA PRAWNE UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH, s. 312, cena 29 zł.
Stanisław Włodyka: PODMIOTO-WE PRZEKSZTALENIE POWODZ-TWA, s. 195, cena 25 zł.

NA NASZYM EKRANIE

Annie Girardot

W zakupionym na nasze ekrany filmie *Francesco Rossiego* „Smog” ta francuska aktorka gra młodą zamerykanizowaną Włoszkę Gabriellę. Gra u boku popularnego gwiazdora włoskiego Renato Salvatori, który w życiu prywatnym jest jej mężem, a w filmie Rossiego młodym przewodnikiem rzymskiego adwokata przybywającego do Meksyku.

Annie Girardot i Renato Salvatori poznali się w czasie realizacji filmu *Viscontiego* „Rocco i jego bracia”, znakomitego dzieła ekranowego, w którym oboje błysnęli wielkim talentem: ona jako młoda, lekkomyślna dziewczyna, on jako jeden z braci — Simone — nieprzytomnie zakochany w wybrance Rocco.

Girardot jest z urodzenia paryżanką. Miała zaledwie

tek Emila” — oto niektóre tylko znane naszym widzom tytuły jej filmów.

W roku 1960 Luchino Visconti zaprosił aktorkę do udziału w filmie „Rocco i jego bracia”, proponując jej rolę Nadii, dziewczyny lekkich obyczajów, w której kocha się Rocco i jego brat Simone. Nie było to pierwsze spotkanie Annie ze znanym reżyserem. To właśnie w reżyserowanej przez niego sztuce „Dwoje na huśtawce” odniosła pierwszy wielki aktorski sukces, on także reżyserował paryski spektakl „Po upadku” Arthura Millera, w którym występowała. Także i teraz spotkanie z Viscontim nastąpiło pod dobrą gwiazdą. Film zdobył sobie popularność na całym świecie, a Annie Girardot raz jeszcze potwierdziła swój ogromny talent. Odtąd bardzo często występuje w filmach włoskich, nierzadko wspólnie z mężem — Renato Salvatorim.

Radziecki reżyser Sergiusz Gerasimow realizując swój (nagrodzony później na Festiwalu w Moskwie) film „Dziennikarz” zaproponował Annie Girardot udział w tym obrazie. Aktorka zagrała samą siebie. Annie Girardot rozmawiającą w paryskiej kawiarni z radzieckim korespondentem. „To artystka o wielkim talentie. Jej udział w moim filmie sprawił mi wielką radość” — powiedział Gerasimow.

Podobnej radości podczas kolejnych spotkań z tą znakomitą aktorką życzymy wszystkim naszym czytelnikom i czytelnikom. (sz)



dwa lata, kiedy umarł jej ojciec i utrzymanie rodziny spadło na barki matki. Sama Anna, mając dwanaście lat poszła już do pracy jako pomocnica w przedszkolu. W wolnych chwilach próbowała grać przed lustrem ulubione postacie z literatury, później wystąpiła na scenie amatorskiej. Miała czternaście lat, kiedy zdobyła pierwsze aktorskie wyróżnienie — nagrodę jednej z paryskich gazet za kreację, jaką stworzyła na scenie małego teatru. To zachęciło ją do dalszej pracy. Rozpoczyna naukę w konserwatorium, jednocześnie szydełkowaniem zarabiając na życie. Uczy się świetnie, kończy studia z wyróżnieniem, otrzymuje angaż do teatru Comedie Francaise, gdzie gra przez trzy sezony, zyskując uznanie krytyki i widzów. Szczególnie duży rozgłos zdobyła sobie kreacją postaci Guittel w sztuce Gibbsona „Dwoje na huśtawce”, gdzie grała obok Jeana Marais oraz tytułową rolę w „Idiotce” Acharda.

Scena nie wystarcza jej. Występuje często w radiu, a następnie w telewizji, znakomicie czuje się na deskach paryskich kabaretów. W roku 1955 debiutuje na ekranie w filmie „Trzynastu przy stole”. Rola w filmie „Portier z Lazurowego Wybrzeża” przynosi jej w roku 1956 nagrodę Suzanne Bianchetti za najlepszy debiut filmowy. W cztery lata później uznano ją za najlepszą francuską aktorkę filmową roku. Talent, czar młodej aktorki, ostrość psychologicznego rysunku kreowanych przez nią postaci zwróciły na Annie Girardot uwagę wielu reżyserów. Występuje w filmach Rene Claira, Jeana Le Chanois, Rogera Vadima, Mario Monicelli i in. „Naśladowictwo wzbrownione”. „Pułapka”. „Francuska i miłość”. „Sławne miłości”. „Zbrodnia nie popłaca”. „Sta-

Renato Guttuso — malarz przedmiotów

Dużym wydarzeniem w życiu kulturalnym Włoch stał się pokaz nowego dzieła Renato Guttuso. W mediolańskiej „Galleria del Milione” znakomity malarz wystawił ogromne paneau — sześć metrów na trzy — uznane przez krytykę za najwyższe osiągnięcie współczesnej sztuki włoskiej i przyjęte z dużym uznaniem przez publiczność.

Wielkie obrazy Renato Guttuso („Ucieczka z Etny”, „Ukrzyżowanie”, „Okupacja Ziemi”, „Bitwa na Moście Admirala”, „Plaża”, „Dyskusja”) mają wspólną nić tematyczną, przesycone są tymi samymi walorami historycznymi i kulturalnymi, pełne gwałtownych uczuć, lecz zarazem — pieczołowitej uwagi dla spraw formalnych, dla linii i barwy. Przyczyna, dla której każde dzieło Guttuso wzbudza i zachwyca, i żywe dyskusje jest jego własny niepowtarzalny styl. Zaprezentowane w Mediolanie paneau nosi tytuł „Kobięce pokoje — pejzaże przedmiotów”. W sugestywny sposób przekazuje artysta poetyckie walory codziennych zjawisk i rzeczy, ukryte piękno nie zawsze zauważanych drobniaków — świat powszedni, a przecież osobiście piękny. Dla Guttuso, którego „Unita” nazywa: największym realistą świata współczesnego, przedmioty są fundamentalnym tworzywem.



BARBARA OLSZEWSKA, instruktorka Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy

„ŻP”

„Nim gruby umrze, chudego diabli wezmą” — to najgłupsze z przysłów wymyślił jakiś obżartuch na swój wątpliwy profit. Fakt to bowiem smutny i ukryć się nie dający, że rozkosze podniebienia wynosimy nad inne. Brzech świadczy o właścicielu — o jego powadze, dobrobycie, stanowisku i poszanowaniu u bliźnich. Tak sądzą mężczyźni, beztrosko zjadający golonkę z grochem na drugie śniadanie i kobiety, bez miary pochłaniające cukiernicze specjalności.

Trzeba przyznać samokrytycznie, że jesteśmy łakome. Pudło ptasiego mleczka budzi w nas uczucia podobne, jak nowy kapelusz. Chcemy mieć, a mieć, często znaczy jeść. Mamy na przykład paskudny zwyczaj wyjadania resztek. Ziemniaczek, trzy kluski, tapioka z dziecinnej kolacji — żeby się nie zmarnowało. Sadelko rośnie, tyjemy pocieszając się, że tak musi być. Przekroczyliśmy już dzieśń lat, a w tym wieku o linię trudno. Rozumowanie błędne. Lekarze bowiem twierdzą, że człowiek w wieku średnim powinien ważyć tyle ile ważył mając lat 25. Jest to podstawowy warunek zachowania długiej sprawności fizycznej. Tymczasem co drugi człowiek cierpi dzisiaj na otyłość nie zdając sobie sprawy z jej skutków: chorób układu krążenia, przewodu trawiennego, cukrzycy. Ważny wreszcie jest sam wygląd estetyczny, mający niemal rolę w życiu człowieka. O chorobie można nie mówić, można ją ukryć przed otoczeniem, nadwagi ukryć się nie da.

Otyłość jest produktem rozwoju cywilizacji. Jako kobiety cywilizowane marzymy o cudownych dietach, wyszczuplających pastylkach i hormonalnych zastrzykach. Sprawa nie jest prosta. Chcieć schudnąć, to nie wszystko. Trzeba wiedzieć jak, a tego najczęściej nie wiemy.

Nadwagę tracimy w sposób radykalny, żywiąc się przez miesiąc wodą z kranu i współżuciem bliźnich, co w szybkim tempie prowadzi nas do szpitala. Tracimy też w sposób racjonalny, rozpoczynając doświadczenie od przejrzystości tabel statystycznych. Niesłychanie pouczająca lektura. Statystyczna Polka licząca 1,62 m wzrostu, obdarzona przężną budową ciała, winna ważyć 57 kg. Odchylenia dopuszczalne do pół kilograma. To jest ideał, a któż nim nie chce być! Zakładam że, moja kobieta ideał nie jest górnikiem, drwalem ani członkiem kadry narodowej, więc jej zapotrzebowanie na kalorie waha się w granicach około 2.500 K. W tej ilości winny mieścić się podstawowe składniki pożywienia, jak białko, tłuszcz, węglowodany. W nowoczesnej diecie przyjmuje się, że białko zwierzęce musi stanowić jedną trzecią ogólnego zapotrzebowania na ten składnik. Kobieta dbająca o linię, zjada dziennie 120 g mięsa, 50 g tłuszczu, 500 g mleka i przetworów mlecznych, 1 jajko, 60 g cukru, mnóstwo jarzyn i owoców, których wartość kaloryczna nie jest wysoka. Oczywiście, nie będziemy dzień żywić się mięsem, choćby w trosce o kieszeń. Mięso z powodzeniem można zastąpić rybami, serem, jajami. Najwięcej kalorii posiadają tłuszcze roślinne i zwierzęce, rośliny strączkowe, wieprzowina i borowiki suszone. Nadmierne spożycie tych ostatnich na szczęście nam nie grozi.

Układanie jadłospisu z tabelą i wagą w ręce, może życie zmienić w koszmar. Nie mamy na to czasu, ani nerwów, ale przypominam, że każda szanująca się kucharzka, prócz przepisów na smakołyki, zawiera także zasady zdrowego żywienia. Warto im się przyjrzeć z bliska, by zyskałszy teoretyczną podbudowę, z żelazną konsekwencją przystąpić do czynu.

Przeważnie w narzuconych rygorach wytrzymujemy najwyżej trzy dni. Potem jest nam smutno i w żołądku ssie. Na pocieszenie zjadamy kilka czekoladek, kremik, lody — mamy wyrzuty sumienia. Nie my pierwsze i nie ostatnie.

Pewien gruboskórny pan doktor zaleca z gwarantowanym skutkiem, niewiastom cierpiącym na otyłość, długie spacery i dietę „ŻP”. ŻP znaczy „żyj połowę”!

Gruboskórni i brutalni też mówią rację.

Bega

ZDARZENIA TYGODNIA

Orkiestra symfoniczna rzeszowskiej Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego wzięła udział w Festiwalu Orkiestr Symfonicznych w Ciechocinku. Jak wiadomo, w tej dorocznej imprezie muzycznej co drugi rok biorą udział zespoły Polski południowej.

28 czerwca koncertem dyrygował Tadeusz Chachaj. Na program złożyły się m. in. utwory W. Kilara (Mała uwertura), F. Mendelssohna-Bartholdy'ego (Muzyka do „Snu nocy letniej”) i B. Szabelskiego (Etiuda) oraz występy solistów: Edyty Wysławskiej (mezzosopran) i Romana Siwka.

Drugi koncert, w dniu 29 bm., prowadził Janusz Ambros. Program wypełniły: Uwertura i Etiudy symfoniczne A. Malawskiego, poemat symfoniczny „Don Juan” R. Straussa oraz Tosca i Fuga J. S. Bacha. Solistka tego dnia była Regina Smendzińska (fortepian).

W ubiegły czwartek odbyło się w Rzeszowie posiedzenie Okręgowej Komisji Opieki nad Zabytkami, działającej przy PTTK. Uczestniczyli w nim, oprócz członków Komisji, przedstawiciele ZBoWiD oraz muzeów PTTK.

Przedmiotem obrad były zadania w świetle wytycznych Centralnej Komisji Opieki nad Zabytkami, które zakładają nawiązanie ściślejszej współpracy z młodzieżą szkolną, kołami zakładowymi, objęcie patronatu nad wiejskimi izbami pamiętek, a szczególnie opiekę nad zabytkami oraz miejscami pamięci narodowej, walk i męczeństwa. Omówiono także plan pracy na rok bieżący i następny. Przewiduje on zwiększenie liczby społecznych opiekunów nad zabytkami, zorganizowanie w 1969 r., w związku z 25-leciem PRL, ogólnopolskiego zjazdu społecznych opiekunów i in.

Obrady prowadził przewodniczącą komisji, dyr. Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, dr F. Błoński.

Z okazji zbliżającego się V Zjazdu ZPZR, 20 rocznicy zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego i 25-lecia Polski Ludowej, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, pod patronatem Wydziału Propagandy KW PZPR, ogłosiła konkurs pod hasłem: „Przodujący radiowęzeł zakładowy 1968/69”.

Jego celem jest ukazanie twórczych inicjatyw i gospodarności założeń w zakresie organizacji i wydajności pracy, dyscypliny społecznej i produkcyjnej. Będzie on trwał rok od 22 lipca br. Konkurs jest dwuetapowy: I etap na szczeblu zarządów okręgów poszczególnych związków branżowych, II etap na szczeblu wojewódzkim.

W ostatnich dniach ukazał się folder o Żarnowcu i Muzeum Marii Konopnickiej. Informator zawiera opis tej miejscowości, historię dworku ze szczególnym uwzględnieniem pobytu M. Konopnickiej w latach 1903—1910 oraz szczegółowe dane o ekspozycji muzealnej oraz parku.

Tekst Br. Cmelli, zdjęcia A. Hadaly, Z. Postępskiego i W. Niepokojka. Wydawnictwo WAG, nakładem Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej w Rzeszowie.

26 czerwca br. teatr Zakładowy Domu Kultury WSK w Rzeszowie wystawił nową sztukę. Była to premiera „Moralności pani Dulskiej” G. Zapolskiej.

Inscenizacja, reżyseria i scenografia — Stefan Stojakowski.

Do „Zdarzeń” nadeszło pismo, którego fragmenty publikujemy:

„W związku z zamieszczoną notatką w „Widnokregu” nr 25/351 z dnia 23 czerwca 1968, dotyczącą wyników Ogólnopolskiego Festiwalu Orkiestr Dętych w Kozienicach, Zakładu Przemysłu Lniarskiego w Krośnie informuję, że orkiestra nasza startująca w kategorii drugiej nie „wywalczala” drugiego miejsca lecz zdobyła, wg orzeczenia komisji, bezkonkurencyjnie pierwsze miejsce, o czym świadczą dowody rzeczowe, tj. dyplom i symboliczna odznaka uwidaczniająca zajęcie tego miejsca...”

Deragent Orkiestry”

Czynimy to dlatego, że informacja, jaką uzyskaliśmy była niecisła — w dokumencie też zdarzają się błędy literowe. Nikt chyba w tym wypadku nie może posądzać nas o złośliwość lub uprzedzenia do orkiestry krosnieńskiej „Lniarki”, która zdobyła a nie „wywalczala” I miejsce. Sądzymy jednak, że nie przyszło jej to tak łatwo.

Gratulacje pomagamy!